

**Powodem wybrania Iranu jako celu alpinistycznej wyprawy, była chęć zorganizowania wyjazdu w miejsce egzotyczne, ale mieszczące się w granicach naszych skromnych portfeli.**

Natomiast za cel "sportowy" wybraliśmy Demawend (5604 m n.p.m.) - najwyższy szczyt tego kraju oraz, obecnie turecki, Ararat (5198 m n.p.m.) - biblijne miejsce spoczynku Arki Noego.

Naszą podróż rozpoczęliśmy w Antalyi, dokąd przylecieliśmy korzystając z tanich biletów czarterowych. Stąd wygodnym autobusem, w którym co półtora godziny steward polewał nam dłonie wodą kolońską, udaliśmy się w 1250-kilometrową podróż do Erzurum, głównego miasta na wschodzie Turcji, bramy Kurdystanu. Aby lepiej znieść szok termiczny, spowodowany 40°C upałami i skrócić czas jazdy, zakupiliśmy na strefie bezcłowej dwa litry wysokoprocentowego alkoholu. Usadowieni na ostatnich siedzeniach raczyliśmy trunkiem siebie i "niepijących" muzułmańskich sąsiadów. W Erzurum musieliśmy przymusowo nocować. Okazało się, że Pascal nie bujał, i że po godz. 17 na wschód faktycznie nic nie jeździ. Oficjalnym powodem jest walka armii tureckiej z bojówkami Partii Pracujących Kurdystanu. Nazajutrz dotarliśmy do Dogubayazyt. Miasteczko leży 285 km na wschód od Erzurum i jest główną bazą wypadową dla wchodzących na Ararat. Tu zaczęliśmy załatwiać sobie permity, co wg. miejscowej agencji turystycznej miało potrwać 10 dni i kosztować 300\$. Ale kiedy zobaczyli nasze miny, spuścili do 200, a ostatecznie stanęło na stówie. Stąd udaliśmy się na przejście graniczne w podliskim Gurbulak. Na przejściu czekała nas niespodzianka w postaci pięciu godzin oczekiwania i kontrola w prawdziwie sowieckim stylu. Z budynku odpraw właściwie została tylko połowa (druga połowa była zburzona), więc od strony tureckiej do środka wchodziło się przez gruzy, a wychodziło przez jedyne ocalałe drzwi na stronę irańską. Trzeba było przy tym uważać na spadające z sufitu fragmenty tynku i stropu. Przed drzwiami kłębiła się niemalejąca, 200. osobowa kolejka, podzielona na ogonek męski i damski. Islam zabrania mieszać się. W jednym ogonku stoją panowie tylko z paszportami, a w drugim, kobiety, już w czadorach, szczelnie zasłonięte, niosą wszystkie bagaże i prowadzą dzieci. „Jak widać są jeszcze na tym świecie pożądne kraje” - żartuje Paweł. Pewnie do dziś czekalibyśmy w kolejce, gdyby nie jakiś anglojęzyczny Irańczyk, który przepchnął nas na drugą stronę. Panowie! Od tej pory koniec z rozpustą! Nie wolno mieszać się z kobietami, nie wolno pić piwa, nawet krótkich spodenek nosić nie wolno!. Można zapomnieć też o telewizji i zachodniej muzyce. Jeżeli ktoś wyłamie się, to może dostać mandat a nawet baty. Ech, ci Strażnicy Rewolucji...

To już Bazargan - pierwsze irańskie miasto, stąd do Teheranu tylko 780 km.

Po kolejnej nocy spędzonej w autobusie dotarliśmy wreszcie do irańskiej stolicy. Ale czas nas nagli, więc bezpośrednio z dworca ruszamy

na północ, w stronę Gór Elburs. Wynajęty taksówkarz, podobnie jak wielu Irańczyków po Islamskiej Rewolucji, zapomniał, że istnieje na świecie jeszcze parę innych języków poza perskim i tylko udawał, że zna angielski, dlatego zamiast pod górą Demawend znaleźliśmy się w wiosce o tej samej nazwie. Co za porażka... Teraz trzeba było jakoś dostać się pod górę. Po kolejnych dwóch godzinach jazdy, ukazał się naszym oczom upragniony cel. "Taki mały i bez śniegu...? Tyle tu jechaliśmy żeby wejść na taką małą górę? Wkosimy ją we dwa dni" - posypały się komentarze. Po południu wyładowaliśmy w miasteczku Gazanak, które leży u wylotu wielkiej doliny, okalającej Demawend od Wschodu. Niestety przez roztargnienie nie ustaliłem jej nazwy. Jeszcze tego samego dnia, po uzyskaniu info od miejscowych i zdobyciu odręcznie rysowanej mapki, ruszyliśmy na północ, prawym zboczem doliny, do pierwszego źródła znajdującego się na naszej drodze. Wreszcie noc w namiocie, na leżąco, można się wyspać. Kolejnego dnia ruszyliśmy w górę doliny. Na wysokości 2900 m napotkaliśmy wycieczkę pracowniczą z fabryki traktorów z Tabrizu. Panowie ochoczo opowiedzieli nam o atrakcjach czekających nas na drodze i narysowali kolejną mapkę. "No, z taką mapą to napewno nie zabłądzimy, a nawet złapiemy Bin Ladena!". Jeszcze tylko fotka z transparentem fabryki i po 4 litry wody do wora, bo przez kolejne 2000 m nie ma co pić. Za trzecim źródłem szlak wznosi się na trawiaste wypłaszczenie i ostro wspinał się w górę, w stronę charakterystycznej formacji skalnych wież, które nazwaliśmy Tri Towers. Oczywiście zamiast trzymać się prawej strony doliny, my poszliśmy za bardzo w lewo, i ostatecznie wyładowaliśmy między kruchymi tufami wulkanicznymi, w terenie 0+. Walka z osuwającymi się spod nóg kamieniami kosztowała sporo wysiłku. Mimo to, tego dnia osiągnęliśmy wielkie, wschodnie ramię Demawendu, ciągnące się ponad wspomniane Tri Towers. Tu wypadł nam nocleg (4250 m n.p.m.). W nocy była burza, która zmusiła nas do złożenia namiotu w płachtę biwakową i obłożenia go wielkimi kamolami. Rano, ku naszej radości, stwierdziliśmy, że nasza góra ma już śnieg! Tego dnia, idąc tym razem w kierunku zachodnim, dotarliśmy do schronu na 4480 m n.p.m. Dopiero tu znaleźliśmy pierwszy śnieg do picia. Po obiedzie ruszyliśmy dalej. Po kolejnych dwóch godzinach marszu przekroczyliśmy wysokość 5000 m n.p.m. i znaleźliśmy się pod Wielkim Zerem, czyli owalnym płatem śniegu, widocznym z rampy, na której spędziliśmy ostatnią noc. Tu zbudowaliśmy platformę na namiot. Praca nad nią zajęła nam 2,5 h. Nocka na 5035 m n.p.m. była zimna. Rankiem o 8.30 ruszyliśmy na szczyt. Ostatnie 600 m wiodło trochę po skałach, trochę po stromym śniegu i lodzie, na końcu po kruszyźnie. Jak przystało na dużą, samotną górę początkowo ostro wiało, więc zrobiłem użytek z mojej puchówki. W okolicy szczytu poczuliśmy dziwne zapaszki. Zaczęły się wzajemne oskarżenia o umyślne zatrucie atmosfery. "To Ty! Nie to Ty! Wmawiasz mi, że się nie kontroluję na takiej wysokości?!" Okazało się, że to nikt z nas, tylko nasz cel regularnie popuszcza gazy, co początkowo było tylko czuć, a na samym szczycie również widać. Już o 12.00 mogłem cieszyć się widokiem z najwyższej góry Iranu. Zaraz po mnie na szczycie zameldowali się Paweł i Grzesiu. Brakowało tylko Andrzeja. Po godzinie oczekiwania

postanowiliśmy go poszukać. Znalazł się 70 metrów pod szczytem. Był w słabej formie. Jeszcze raz wróciłem na szczyt, wciągając go za rękę. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że zmęczenie Andrzeja będzie źródłem wielu kłopotów.

W zejściu do namiotu Andrzej jeszcze sobie radził, choć zajęło mu to sześć godzin. Do obozu dotarł o zmroku, co uniemożliwiło nam wycofanie się do schronu na 4480 m n.p.m. Po kolejnej nocy Andrzej był już tak słaby, że nie był w stanie chodzić, ba, nie mógł nawet wstać. Był już w tym roku na Blancu i na Elbrusie, powinien mieć klimę, a tu ostra niewydolność krążenia, spowodowana brakiem tlenu - tak orzekło konsylium złożone z Pawła-farmaceuty i mnie. Musieliśmy podzielić między siebie jego rzeczy, a dla niego z kijów i czekanów zrobiliśmy nosze. Chorego zapakowaliśmy w śpiwór i rozpoczęliśmy mozolne zejście. Żeby nie było nam łatwiej, rozpadał się gęsty śnieg, zaczęło wiać i podniosły się chmury, zmniejszając widoczność do zera. Ciągnąc nosze po ziemi, ciągnąc samego Andrzeja, prowadząc go pod rękę zesliśmy na 4250 m n.p.m., w miejsce naszego drugiego biwaku. Kolejnego dnia udało się nam sprowadzić go poniżej 4000 m n.p.m., gdzie poczuł się lepiej i ostatecznie wieczorem osiągnęliśmy wioskę. Tej samej nocy wróciliśmy do Teheranu. Jazda taksówką była bardziej emocjonująca niż górskie przygody. Iran zajmuje pierwsze miejsce pod względem ilości wypadków drogowych na świecie, a nasz taksówkarz chciał nam koniecznie udowodnić, że nie jest to przypadek. "Zapłać mu więcej, niech tylko zwolni!" - posypały się okrzyki z tylnego siedzenia. Kolejny dzień spędziliśmy na poznawaniu miasta, w szczególności medyny - jednej z trzech największych na świecie. Na tutejszym bazarze można było kupić wszystko, nawet spodnie z napisem US Army. "Czy ta metropolia ma jakieś nocne życie" - pyta Paweł. "Pewnie ma, ale my się o tym nie przekonamy" - odpowiadam. Już wieczorem lądujemy na dworcu autobusowym i kupujemy bilety do Maku, miasta przy tureckiej granicy. Nie omieszkałem spytać ile kosztuje ticket do Lahore, tak na przyszłość...

O świecie w Maku przesiadamy się do taksówki i już jesteśmy w Bazargan, to już granica. Z Araratu musimy niestety zrezygnować. Andrzej nie czuje się dobrze, a i czasu za mało. Zabrakło nam tego jednego dnia, poświęconego na akcję ratowniczą. Z Dogubayazyt przez Erzurum docieramy do Adany - najcieplejszego miasta Turcji. Jeszcze 1.10. było tam w cieniu 41°C. Tak rozpoczyna się nasz trzydniowy odpoczynek na tureckiej riwierze.

No cóż... Osamy nie złapaliśmy, reżimu spadkobierców Chomeiniego nie obaliliśmy, nawet na Ararat nie weszliśmy. Ale Demawend zdobyty i d.... Andrzeja uratowana, za co dziękuję Pawłowi i Grzesiowi, którzy ze mną sporo się nadźwigali. A miała to być taka mała góra i bez śniegu...

W wyprawie udział wzięli:

Andrzej Klimczewski - Łódź, Paweł Kajzerek - Żory, Grzegorz Japoł - Nowy Targ, Bogusław Magrel - Tychy.